

Siła złego na jednego

23 października 2005 roku, w dniu zwycięskich wyborów prezydenckich, Lech Kaczyński otrzymał ponad 8 milionów głosów, co stanowiło 54,04% głosujących. W ciągu niecałych trzech lat urzędowania podpisał prawie sto ustaw, a jedynie 4 zawetował, w tym nasjsłynniejszą ustawę o radiofonii i telewizji. Ponadto zapowiedział swój sprzeciw wobec ustaw prowadzących w konsekwencji do prywatyzacji szpitali oraz w stosunku do ustawy rozdzielającej funkcje ministra sprawiedliwości od prokuratora generalnego. Niewykluczone, że postawi też weto wobec planów wprowadzenia ustroju metropolitarne w Polsce.

W prasie lewicowo-liberalnej konstytucyjne uprawnienie prezydenta do wetowania ustaw jest dziś poddawane powszechnej krytyce. Kwestionuje się to prawo od strony podmiotowej mówiąc, że prezydent reprezentuje tylko jedną partię PiS, albo że prezydent wetuje, bo dogadał się z SLD i od strony przedmiotowej, jakby prawa do wetowania nie zawierała obowiązująca Konstytucja.

Znaleziono więc kolejny dogodny pretekst do ataków na prezydenta i wymarzone alibi dla nieudolnego i leniwego rządu, którego klęska w realizacji własnego programu wyborczego jest aż nadto widoczna.

Konstytucyjne uprawnienie prezydenta do zawetowania ustawy, twierdzą krytycy prezydenta, jest nie tylko nadużyciem władzy, ale „konstytucyjnym zamachem stanu”. Tak uważa w ostatniej

„Polityce” red. Janina Paradowska. I uzasadnia, że wetowanie ustaw podnosi próg większości niezbędnej do rządzenia aż do 60 procent, „czego nie ma w żadnej demokracji”. Ponadto takie działanie może skutkować rezygnacją rządu z rządzenia za pomocą ustaw i skoncentrowaniu się na rozporządzeniach, czyli aktach ściśle wykonawczych.

Jeżeli faktycznie miałyby się tak stać, to prezydent Lech Kaczyński swoim wetem oddaje nam podwójną przysługę. Likwiduje w samym zarodku skutki złych ustaw, ponadto przymusza rząd do zajęcia się rządzeniem, a nie forsowaniem na siłę utopijnych pomysłów. Prezydent, co zawsze podkreśla, jest w zgodzie z tym, co obiecywał wyborcom, że Polska będzie bardziej „solidarna” niż „liberalna”.

Przez bardzo wiele lat wtłaczano nam do głowy, szczególnie w PRL-u, że szlacheckie „liberum veto”, czyli „wolne nie pozwalam” było bezwzględny złem i bezpośrednią przyczyną upadku Polski, a w rzeczywistości była to jedna z najbardziej demokratycznych form głosowania, jakie wypracowała ludzkość po demokracji ateńskiej. Posłowie w dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów mieli tak długo dyskutować, negocjować, aby wypracowany przez nich projekt ustawy czy uchwały zadowolili ich i lokalne sejmiki, które reprezentowali. Dziś byśmy powiedzieli, że musieli uzyskać „konsensus”, czyli zgodę na jednomyślność, która dawała niepodważalną legitymację do wprowadzania ustaw czy uchwał. Wyposażony w prawo do zgłoszenia swojego „liberum veto” poseł mógł z tego prawa w każdej chwili

skorzystać, ale brał na siebie odpowiedzialność za zerwanie negocjacji i całego sejmu czy sejmiku. Swoboda w podejmowaniu indywidualnej decyzji i odpowiedzialność za tę decyzję musiały iść w parze. Przekupny poseł mógł zerwać cały sejmik, ale jeden nieprzekupny poseł swoim „liberum veto” mógł nie dopuścić do uchwalenia złych ustaw forsowanych przez przekupioną większość sejmową. „Liberum veto”, jak każdy mechanizm głosowania, bywał wykorzystany w dobrej sprawie, (pro publico bono), ale bywało, że służył też sprawie złej. Dziś zakłamuje się prawdę o faktycznym znaczeniu instytucji weta prezydenta, które jest jego autonomicznym prawem i przywilejem, a często i obowiązkiem.

Publiczne negowanie prawa prezydenta do weta, które składa w imieniu większości głosujących na niego Polaków, biadolenie nad faktem, że w wyniku weta sejm zostaje zmuszony do tworzenia „aż” 60-procentowej reprezentacji dającej legitymizację rządowi do rządzenia, świadczy o tym, jak nisko upadła nasza demokracja i myślenie o niej. Rząd, który nie chce zabiegać o tworzenie większości parlamentarnej do odrzucenia prezydenckiego weta, wystawia się na śmieszność i jako nieudolny powinien się podać do dymisji. Rząd Donalda Tuska woli nie dostrzegać reguł demokracji. Gotowy jest zrezygnować z realizacji swojego programu, jeżeli na jego drodze staje weto prezydenta. Woli przegrać ustawy, gdyż w politycznej kalkulacji większym zwycięstwem będzie przekonywanie opinii publicznej, za pomocą spolegliwych

mediów, że większą odpowiedzialność za rządzenie krajem ponosi prezydent i on jest głównym autorem klęski rządowych reform. Potwierdza tym samym, że rządzenie jest wyłącznie formą przykrywki do przygotowywania gruntu pod przyszłe wybory prezydenckie. W tym scenariuszu jest też ewentualność, zakładana jeszcze przed wyborami, odsunięcia prezydenta od władzy na drodze impeachmentu.

Lech Kaczyński jako główny odpowiedzialny za brak sukcesów rządu, wobec którego jest w opozycji, czego nigdy nie krył, mieści się w filozofii rządzenia ekipy Donalda Tuska.

Badania telemetryczne, w które z taką uwagą wpatruje się „pijarowska” ekipa rządowa, potwierdzają stałą, wysoką popularność Platformy Obywatelskiej i samego premiera i niskie notowania głowy państwa.

Prezydent, który nie może przebić się do społeczeństwa ze swoimi racjami „topi” swoją przyszłą prezydenturę, ale mało kto zauważył stopień determinacji, jaki cechuje prezydenturę Lecha Kaczyńskiego, gotowego zaprzepaścić swoją reelekcję, jeżeli negocjacje w sprawie instalacji w Polsce tarczy antyrakietowej nie zakończą się sukcesem. Jak przy takiej bezinteresownej determinacji prezydenta oceniać partykularną determinację rządu Donalda Tuska do nieustannej i bezpardonowej walki z PiS i prezydenturą Lecha Kaczyńskiego?

Wojciech Reszczyński

Autor jest wicedyrektorem Informacyjnej Agencji Radiowej PR

„Nasza Polska” 12.08.08